Henryk Makowski

Dźwigam na grzbiecie

Właściwie jedynym argumentem
naszej wiary jest pacierz
im prostszy zwyczajny
tym skuteczniejszy
warty powtarzania
najlepszy w samotności
najwięcej przy nim aniołów.
Aniołowie lubią ciszę i oddalenie
ich obecność jest wyraźnie wyczuwalna
po delikatnym podmuchu
od wachlowania skrzydłami
po sile podmuchu znać
że jest ich gromada.
Gdyby ktoś chciał
można to uznać za indywidualny
dowód istnienia.
Warto dźwigać na grzbiecie
brzemię wiary
nie ugniata a prościej się chodzi.

Nie jestem patriotą

Pustego pokaleczonego słowa
ulicznego i ambonalnego.
Tylko do mnie Polska przylgnęła
mocą munduru krzywd doznanych,
zawsze była i jest moją
nadwiślańską słowiańską,
niezbędna domową ojczyzną.
Wzbogaca mojego ducha.
Jest neutralna, poza pokusami
szarpią ją jadowicie
zagarniają jej znamiona.
Sowizdrzały swojej pychy.

wiesz komu śpiewam

jesteś śpiewaniem
w kolorach dnia
jesteś stąpaniem bezszelestnym
przykryta uśmiechem utajonym
radością wypowiadaną
podarowaną dla ozdoby
przezroczysta jesteś dobrocią
zwyczajna uśmiechem
zaprawdę wiem jaka jesteś

Potrzebny jestem

Ślimakom na początku lipca by zbierać je
z piaszczystej drogi
grzywaczom jaskółkom szpakom na drutach
przykucniętym
w deszczu by rozweselić je rozmową
lipom kwitnącym by zapylić je wdychaniem
miodowej woni
dżdżownicom by po deszczach wiosennych
przenosić je
w głąb liściastej trawy
słońcu by powitać je rankiem mozolnie na
skraju nieba się
wdrapujące
zmierzch powitać i pożegnać rychło
radością i przytulaniem drzewa obdarzać
by podskoczyć i kopciuszka zadziwić
przyjaciół wcześniej odeszłych pamięcią
przywoływać
by być zaledwie całością gwiazd dalekich

Adam Ryszard Prokop

* * *

w świecie
który pozostanie obcy i wrogi

w układach
które oplotą lub zniszczą

w zadaniach
których zrozumieć do końca nie można

w osobach
których nawet lustro nie poznaje

w ubraniach
które nie były szyte na nikogo

w dłoniach
twarz bez opcji personalizacji

szarość dnia codziennego

idąc przez ulicę
kolejna zebra
została przejechana
przez pędzące auta

żółw bez chwili wytchnienia
naciąga łuk
by trafić Achillesa w piętę

tysiące ludzi
jak mrówki spółkują
z ograniczoną pożytecznością

a ja
jak zwykle
spotkałem śmierć
w supermarkecie

po-jednanie

będą wiecznie mówić
do tego wracać
przekonywać
że nie powinno było
że nie tak

chrześcijańskie przebaczenie
wykoleją do traktatu o moralności
współczucie zaszczują pokutą
miłość zgwałci poczucie obowiązku
bo człowiek
dojrzały stateczny i oswojony
nie szuka drogi
nie stawia pytań
tylko słucha
się zmienia
umiera

tylko bóg
który nie dał się im nawrócić
rozpostrze przed nim swe ramiona
przytuli i pogłaszcze
choć już będzie za późno

resocjalizacja

wszystko zaczęło się około piątej
lecz nie było zaćmienia
żadnych rozdartych kurtyn
tylko paru łotrów
oszukujących jak życie się dało
bez kary za winy
bez wina za karę

uśmiechy szybowały wzgórza czaszki
tym razem jeszcze nie sępie
lecz następnym

gama jaśnień

graj na skrzypcach
graj na ogniu

nuta niech wybrzmi
nuta niech płonie

ciało to kamerton
dusza to termometr

jeszcze jeden takt
jeszcze nieco drwa

natrudzą się struny
natrudzą się iskry

ten ton
ten blask

już czas
już czas

ręce

ręce mi się trzęsą
od zawsze
odkąd pamiętam
czasem są umazane musztardą
mają obgryzione opuszki
zimą skryte w rękawiczkach
nienawidzą techniki
ale znają sztukę
gdzie jeden dotyk wystarczy
by zaćmić niebo człowiekiem
tu i teraz
roztrzęsione

▪